NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 37 Marek, Półrocznie 74 Marek. Rocznie 148 Marek.

Zmiana adresu 1 Markę.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, B uro dzien ików — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Łódz. Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 3 M rki = K4 20.

Rok XVII. Kraków, 13 marca 1920. Nr. 11.

Ze Zjazdu ref. oświat. wojsk. Okr. Gen. Krak. w Nowym Sączu.



Uczestnicy Zjazdu: 1) Dyw. pułk. J. Galica, przewodniczący Zjazdu; 2) pułk. Horoszkiewicz, dow. Garn. w Nowym Sączu; 3) pułk. Horoszkiewiczowa, przew. Zw. Matek w Nowym Sączu; 4) ks. kap. A. Miodoński, ref. ośw. w Nowym Sączu.

Ze Zjazdu ref. oświat. wojskowych Okr. Gen. Krak. w Nowym Sączu.

Praca oświatowo kulturalna w W. P. rozwija się z nadzwyczajnymi wprost rezultatami. Uniw. Żołn. istnieje zaledwie rok, a może się poszczycić tem, że 3000 żołnierzy, których nauczono już czytać i pisać, nie licząc uczących się obecnie, że rozdano 5000 elementarzy i 12 000 zeszytów, a obrazów 5600; że kiedy referent oświatowy DOG miał obrotu 230 000 koron i 38 000 Mk — to sam Nowy Sącz dzięki nieprzezwyciężonej energii ks. kapelana Miodońskiego wykazał 1 057 000 K obrotu! Dlatego to słusznie wyznaczyło DOG Kraków na miejsce drugiego zjazdu refer. oświat. właśnie Nowy Sącz. Zjazdowi przewodniczył, zawsze pełen taktu i humoru, dywiz. płk. A. Galica. Prócz gości cywilnych wzięli udział referenci ośw., delegowani z innych DOG, oraz cały niemal kurs oświatowy wojsk. z Warszawy, przedstawiający pracowników z całej Polski. Znakomite referaty o organizacyjne por. J. A. Teslara, por. L. Kwiecińskiego, por. J. Gizy i por. J. Jasińskiego wywołały bogatą dyskusyę i szereg doniosłych wniosków. Oprócz obrad teoretycznych zjazd z całym zainteresowaniem zwiedził pełne sprawności ładu i inwencyi urządzenia Uniw. Żołn. w Nowym Sączu, więc lekcye poglądowe, bibliotekę, czytelnię, kluby, teatry — rozstrzygnął dwa konkursy (śpiewacki i żołnierski) — gospodę z herbaciarnią, sklep, kiosk z dziennikami, fotoplastikon i „fabrykę ul“.

Rezultaty pracy ks. Miodońskiego tak dla wszystkich uczestników pouczające były, możliwe do osiągnięcia dzięki niezwykłemu poparciu dowódcy pułkownika Horoszkiewicza, którego żona jest przewodniczącą „Związku Matek Żołnierza“, oraz wyjątkowej sympatyi i zrozumienia, jaką się cieszy Uniw. Żołn. wśród miejscowego społeczeństwa. To też Nowy Sącz przewyższył wszystkie garnizony w Polsce dzięki tej owocnej, a naśladowania godnej współpracy społeczeństwa z Uniw. Żołn.

Około Kamieńca Podolskiego.

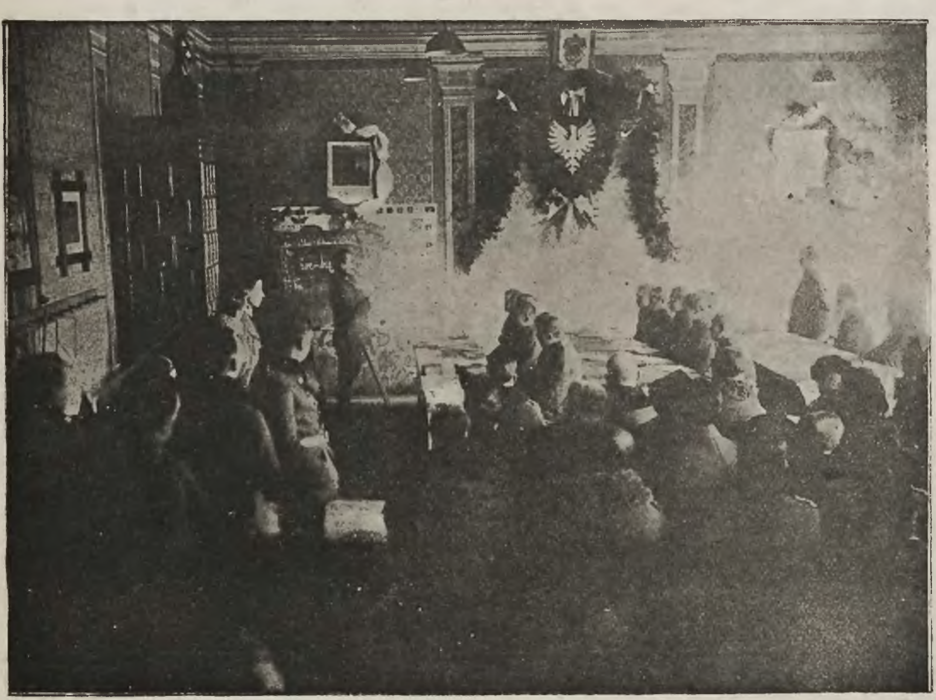
Naprawdę trudno zoryentować się w chaosie stosunków ukraińskich. Przechodzą tam najrozmaitsze prądy, które dziś płynąc w tym kierunku jutro zalała podmuchem zmieniają swój kierunek. W każdym razie zasadniczo jasno zdecydowane są dwa odłamy, które ścierają się ustawicznie, a mówiąc wyraźniej różnice między nimi panujące co chwila zacierają się i zapewne w niedługiej przyszłości ustąpią całkowicie. Bolszewizm i kierunek reakcyjny — oto dwie partye panujące na Ukrainie, ale już nie dziś. W czasie kiedy trójca Denikin-Kołczak-Petlura tworzyła wał antyrewolucyjny na Ukrainie, mówiło się o gabinecie narodowym, o niezawisłości Ukrainy itd. Pierścień jednak pękł i skończył się zwycięstwem bolszewików. Petlura musiał uciekać do Polski, zdradzony przez własną armię, której znaczna część pod wodzą generała Tarnawskiego przeszła na stronę bolszewików. Było to dowodem, że prąd narodowy na Ukrainie był tylko nalotem, który dał się łatwo zmyć hasłami komunistycznemi.

Niepodległa Ukraina stała się bezdźwięcznym wyrazem, który mimo zabiegów o ratunek gasł i wreszcie stał się tylko dalekim już echem.

Równocześnie i dążenia do utworzenia bloku federalistycznego do spółki z Rosyą znika coraz bardziej. W celu podtrzymywania sojuszu założono w Paryżu komitet ukraiński, narodowy, z powodu bolszewickich tendencyi rządu Petlury. Rusini galicyjscy i niektórzy Ukraińcy z Rosyi, należący do delegacyi ukraińskiej w Paryżu, wystąpili ze składu tej delegacyi, tworząc komitet nacyonalistyczny, którego programem jest zjednoczenie się z Rosyą na zasadach federalizmu. Między innymi w skład komitetu wszedł prof. dr Tomaszewski i poseł Petruszewicz, prezesem został dr Panejko były redaktor „Diła“ lwowskiego.

Jest to jednak kiwanie palcem w bucie. Czy utrzyma się cokolwiek w naczyniu któremu brak dna? Choćby się i najsztuczniej płyn wyrabiało, wypłynie. Cóż więc mówić o Ukrainie wobec istotnego stanu rzeczy?

Próby zawarcia pokoju z bolszewikami ze strony Ukraińców ponawiane, do niczego jeszcze nie doprowadziły. Propozycye uczynione rządowi sowietów stawiały na pierwszy punkt uznanie niepodległości Ukrainy i uznanie jej neutralności. Zabrania się





Ze Zjazdu ref. oświat. wojsk. Okr. Gen. Krak. w Nowym Sączu:
Lekcya praktyczna dla analfabetów (prowadzi por. J. Nowak). Lekcya sądownictwa (prow. por. A. Machalski).



Ze Zjazdu ref. oświat. wojsk. O. G. K. w Nowym Sączu:
Kiosk Uniw. żołn. na mieście w Nowym Sączu.





Ze Zjazdu ref. oświat. wojskowych Okr. Gen. Krak. w Nowym Sączu:
Orkiestra góralska Uniw. żołn. (z Ks. Miodońskim). **Sklep żołnierski Uniw. żołn.**

bolszewikom prowadzić agitacyę komunistyczną na Ukrainie i wreszcie prawnie upełnomocnia się rząd Mazepy. Do porozumienia jeszcze nie doszło, bo trudno sobie wyobrazić pertraktacye o ziemie, które już się posiada. Bolszewicy dziś na Ukrainie czują się jak na swojem podwórku i cóż mówić o tem aby ktoś im dyktował jak je mają urządzić. Uznanie rządu Mazepy? Byłoby to bolszewikom wcale na rękę. Bo co to jest rząd Mazepy? W Kamieńcu Podolskim władze wojskowe polskie aresztowały dnia 11 lutego przebywających tam byłych ukraińskich ministrów: Iwana Mazepę, prezesa misyi dyplomatycznej, Andrzeja Lewickiego, pełnomocnika rządu ukraińskiego prof. Ochienkę, ministra pracy Osypa Bernatkę, prezesa związku narodowo ukraińskiego prof. Korczyńskiego. Aresztowanie nastąpiło z powodu ich stosunków politycznych z bolszewikami, z którymi porozumiewali się chcąc uprzedzić znane rokowania polsko bolszewickie, by uzyskać pewne atuty w tej grze politycznej na swoją korzyść; z drugiej zaś strony wybitni Ukraińcy stali się poprostu agentami bolszewickimi na tyłach woisk frontowych. Równocześnie położono areszt na ukraiński „bank państwowy“ w Kamieńcu Podolskim, który wydawał olbrzymie sumy na agitacyę wrogą w kraju i zagranicą i subweniował pisma o tendencyi bolszewickiej w Galicyi wschodniej. Tak się przedstawiają antybolszewickie prace Ukraińców. Nie dziw więc że wedle wiadomości z Paryża w otoczeniu Łazanowa utrzymuje się przekonanie, że cała wschodnia Galicya zalana jest ukraińskimi agentami bolszewickimi którzy są równocześnie politykami „niepodległej Ukrainy“. Wszyscy dążą do przyłączenia Galicyi wschodniej do Ukrainy, a więc z nią do Rosyi bolszewickiej. Siczowi strzelcy walczą razem z bolszewikami przeciw Polsce, a oznaką ich jest emblement przedstawiający na bolszewickiej gwieździe dwie ręce złożone w uścisku trzymające sierp. Na końcach gwiazdy widnieją litery S. U. S. (siczowi ukraińscy strzelcy).

Równocześnie wedle nadeszłych wiadomości z Berlina prof. Hruszewskij b. prezydent Ukraińskiej Rady Centralnej, bawił przed kilkoma dniami w Berlinie, aby pertraktować z oficyalnymi reprezentantami Rosyi sowieckiej. Imieniem ukraińskich rewolucyonistów sowieckich, przedstawił on rządowi sowietów moskiewskich wielkie gospodarcze i polityczne oferty zapewne partyi socyalno-rewolucyjnej na Ukrainie dla osiągnięcia rządów. Reprezentant rządu sowieckiego w Berlinie zawiadomił o tem swój rząd, otrzymał jednak telegraficzne polecenie, aby z Hruszewskim nie konferował. Wobec tego



Około Kamieńca Podolskiego: Ogólny widok na zamek i miasto.

prof. Hruszewskij wyjechał wraz z gen. Żukowskim do Pragi.

W ten sposób stosunki na Ukrainie poczynają się wyjaśniać. Bolszewizm wkracza szeroką bramą.

Wielki mistrz francuskiej Legii honorowej.

W ostatnim tygodniu prezydent Francyi P. Deschanel objął godność szefa suwerennego i wielkiego mistrza Legii honorowej i otrzymał wspaniałą kolię orderu, który posiadało przedtem siedmiu prezydentów. Siedmiu, jakkolwiek było dziewięciu kierowników państwa republikańskiego od upadku cesarstwa. Ani Thiers, ani Mac Mahon nie objęli godności mistrzów. Order został ustanowiony 19 maja





Około Kamieńca Podolskiego:

Motyw z zamku.

Widok na baszty zamkowe.



Około Kamieńca Podolskiego: Stary Kościół około Kamieńca Podolskiego.



Około Kamieńca Podolskiego: Widok na zamek w Kamieńcu Podolskim.



Około Kamieńca Podolskiego: Baszta zamkowa.

1802 roku przez Napoleona, który go nosił jeszcze na wyspie świętej Heleny.

W roku 1852 artykułem drugim ustanowiono, że prezydent Republiki jest szefem suwerennym i wielkim mistrzem Legii honorowej. Jest to tytuł, który ustanowiony przez Napoleona III dziś przyznano prezydentowi Deschanelowi.

Kolia jest wspaniale cyzelowana w złocie przez jubilera Lemoine; rysunek został zaakceptowany w roku 1881 przez prezydenta Grévy. Składa się z dwóch łańcuszków wspaniałej roboty, przeplatanych w symetrycznych odstępach przez gwiazdy. Między łańcuszkami znajduje się szesnaście medalionów, na których znajdują się wyryte nazwiska prezydentów i data objęcia godności szefa; medaliony są połączone monogramami H P. (Honneur, Patrie). Na niej jest zawieszony order, w ktorym znajduje się dyament 81 mm. wielkości.

Spięcie medalionów, połączonych łańcuszkami, uskuteczniono przy pomocy wspaniałego pierścienia. W otoczeniu monogramu francuskiego uwity jest wieniec, spleciony ze złotych liści, przepasanych złotą wstęgą. Cały pierścień otoczony jest jeszcze jednym wieńcem, który stanowią gałązki palmowe, związane ku dołowi wstążeczką. Pierścień łączy się klamerkami z taśmą medalionową. Od spięcia gałązek laurowych poprowadzona jest



Wielki mistrz franc. Legii honorowej: Kolia Legii honor

klamerka, na której znowu zawieszono wianek ze złotych liści. Stąd wystają dwie rączki, na których spiera się właściwy order. Jest to gwiazda wysadzana dyamentami i drogimi kamieniami. Otacza ją rysunek pierścieniowy, wspaniale rzeźbiony, również wysadzany drogimi kamieniami. W gwieździe znajduje się herb francuski, wykonany z misternego rysunku.

W r. 1909 Sarréu zaproponował, aby w tytule usunąć wyrażenie „suwerenny", jako niezgadzające się z pojęciami republikańskiemi. Ożywiona dyskusya, skończyła się oświadczeniem, że tytuł dla zachowania tradycyi pozostaje w pierwotnem brzmieniu.

Uroczystość mianowania nowego mistrza Legii honorowej odbyła się w poważnem gronie licznych przedstawicieli rządu, wojskowości i prasy. Do zgromadzonych przemówił Paweł Deschanel, podnosząc uroczystość chwili, równocześnie krótko streszczając dzieje Legii i robiąc serdeczną wzmiankę do swoich poprzedników, którzy starali się z honorem i zrozumieniem włożonego na nich obowiązku strzedz Legii. Prezydentowi odpowiadano w licznych przemówieniach.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

21

Po upływie dwudziestu lat przebytych w Ameryce, o pracy nad siły, Paweł postanowił powrócić do Francyi. Cel pierwszy został osiągnięty. Powracał z majątkiem i mógł teraz bezpiecznie starać się o wyjaśnienie dziwnej tajemnicy, która niegdyś spowodowała jego wygnanie.

W długich, bezsennych nocach, strawionych na rozmyślaniu, doszedł do przekonania, że internacyonalna szajka szpiegowska, która zdołała ukraść niegdyś plany łodzi podwodnych, poświęciła go bez namysłu, w celu założenia kogoś ze swoich. Dowód tej piekielnej machinacyi musiał gdzieś istnieć przecież.

Trzeba go było za jakąbądź cenę odnaleść, przy użyciu wielkich zasobów energii i zaparcia się osobistego, nabytego w tych ciężkich latach walki i pracy nadludzkiej prawie.

Paweł nie wahał się ani jednej chwili.

Poruczył eksplotacye swoje człowiekowi godnemu zaufania i wsiadł na okręt płynący do Francyi pod przybranem nazwiskiem Jonathana Wiliama Forstera.

Lecz w chwili kiedy już stanął na pokładzie okrętu, mającego go zawieść do kraju — Paweł doznał gwałtownego, niemiłego wstrząśnienia.

Spostrzegł na pokładzie dwóch inspektorów — tych samych, którzy niegdyś aresztowali go w parowach d'Ollioules i odprowadzili z kajdankami na rękach do więzienia do Toulon.

Tak! to byli oni!

Powracali zapewnie z misyi jakiejś z Ameryki i jakiż dziwny kaprys losu postawił ich na jego drodze, budząc w jego umyśle okropne wspomnienie przeszłości, którą chciał zatrzeć w swojej pamięci. Podróż odbyta w ich towarzystwie nie mogła być przyjemna i bezpieczna.

Skoro on od pierwszego wejrzenia ich poznał, czy było możliwem, aby oni ze swej strony nie rozpoznali w nim dawnego więźnia oskarżonego o szpiegostwo?

Zmienił się zapewne przez te lat dwadzieścia. Cera jego opalona przez ciągłe przebywanie na powietrzu i słońcu, zmarszczki nabyte na czole, włosy już lekko sprószone siwizną i długa jasna broda cowboy'a — wszystko to zatarło z czasem wspomnienie eleganckiego, wytwornego młodego oficera z lat ubiegłych. Ale czy nie było właśnie zadaniem tych ludzi odnajdywać prawdziwe rysy ludzi poprzez przemiany uczynione latami?

Dlatego też Paweł, choć dostatecznie zaprawiony był wobec niebezpieczeństwa, postanowił nie narażać się. Wycofanie się ostrożne w tym wypadku nie było ucieczką.

Opuścił więc pokład okrętu uwożący ajentów i sam nazajutrz wsiadł na parowiec handlowy „Black Old Dog“, z trudem namówiwszy kapitana na przewiezienie go.

W dwa tygodnie później wysiadał na dworcu w Lyonie, dokąd zawiózł go pospieszny pociąg odchodzący z Marsylii.

Przez lata te Paryż uległ już znacznej zmianie. Ulice roiły się od automobilów i linii tramwajowych. Ruch na mieście był olbrzymi.

Paweł do Vareilles urodził się i wzrósł w dzielnicy Baguitolles. W owym czasie był to zakątek cichy i mało zaludniony małymi domkami, wznoszącymi się pośród ogrodów.

Paweł udał się tam, przyciągnięty wspomnieniem pracowitej swojej młodości, spędzonej tutaj i także dlatego, że czuł się tu mniej obcym niż w innych zabudowanych licznie, bogatych, dzielnicach miasta.

Wyszedłszy więc z dworca wsiadł do pierwszego odjeżdżającego omnibusu.

Ale w chwili, kiedy w jakiś czas później, zagłębiał się już pieszo w tłum rojący się po ulicach, spostrzegł, że ktoś szedł za nim śledząc jego kroki. Czy może został poznany przez ajentów w procesie Orleanu, czy też kapitan z „Black Old Dog'u“ mszcząc się za nieprzyjemności doznane od niego w czasie przeprawy, pospieszył z oskarżeniem na policyę?

Okropne wzruszenie ścisnęło jego serce jak kleszczami.

Przecież tu, w ojczyźnie swojej, był tylko nędznym paryasem, więźniem uchylającym się od zasłużonej kary, na którym ręka sprawiedliwości zaciążyć mogła w każdej chwili!

Po chwili jednak Paweł zdołał opanować wzruszenie i spojrzał rzeczywistości prosto w oczy.

Papiery jego, wzięte tam w Ameryce od jednego ze swoich współpracowników, opiewały na nazwisko J. W. Forstera, podróżującego dla przyjemności. Któż więc mógł go zmusić do przyznania, że on to jest zbiegłym więźniem z Toulonu?

Jednakże musiał użyć wszelkich ostrożności. Gdyby chciał teraz uciec, uchylić się przed pogonią, narażał się oczywiście na aresztowanie pewne.

Dzięki małemu lusterkowi kieszonkowemu, w którem pozornie przeglądał się, podziwiając elegancką staranną brodę, którą zręczny fryzyer w Marsylii zastąpił dawniejszą dziko rozrośniętą i zaniedbaną, Paweł mógł śledzić zachowanie ajenta idącego za nim.

Już kilkakrotnie ten ostatni miał sposobność położyć mu rękę na ramieniu i aresztować. Jednakże nie uczynił tego.

Po wypadku z rozbieganym koniem, pozwolił mu nawet zgubić się w tłumie i ujść owacyom publiczności, poruszonej jego odważnym czynem i nie interweniował wcale.

Czyżby więc ajent nie był całkiem pewny, że ma przed sobą człowieka, którego poszukiwał?

Lub też może poruczono mu tylko sprawdzenie, jak zachowuje się ten cudzoziemiec, który w taki niespodziewany sposób pojawił się na bruku paryskim?

Wszystkie przypuszczenia były możliwe. Paweł postanowił więc pozostawić wszystko biegowi rzeczy, nie usiłując sprzeciwiać się losowi.

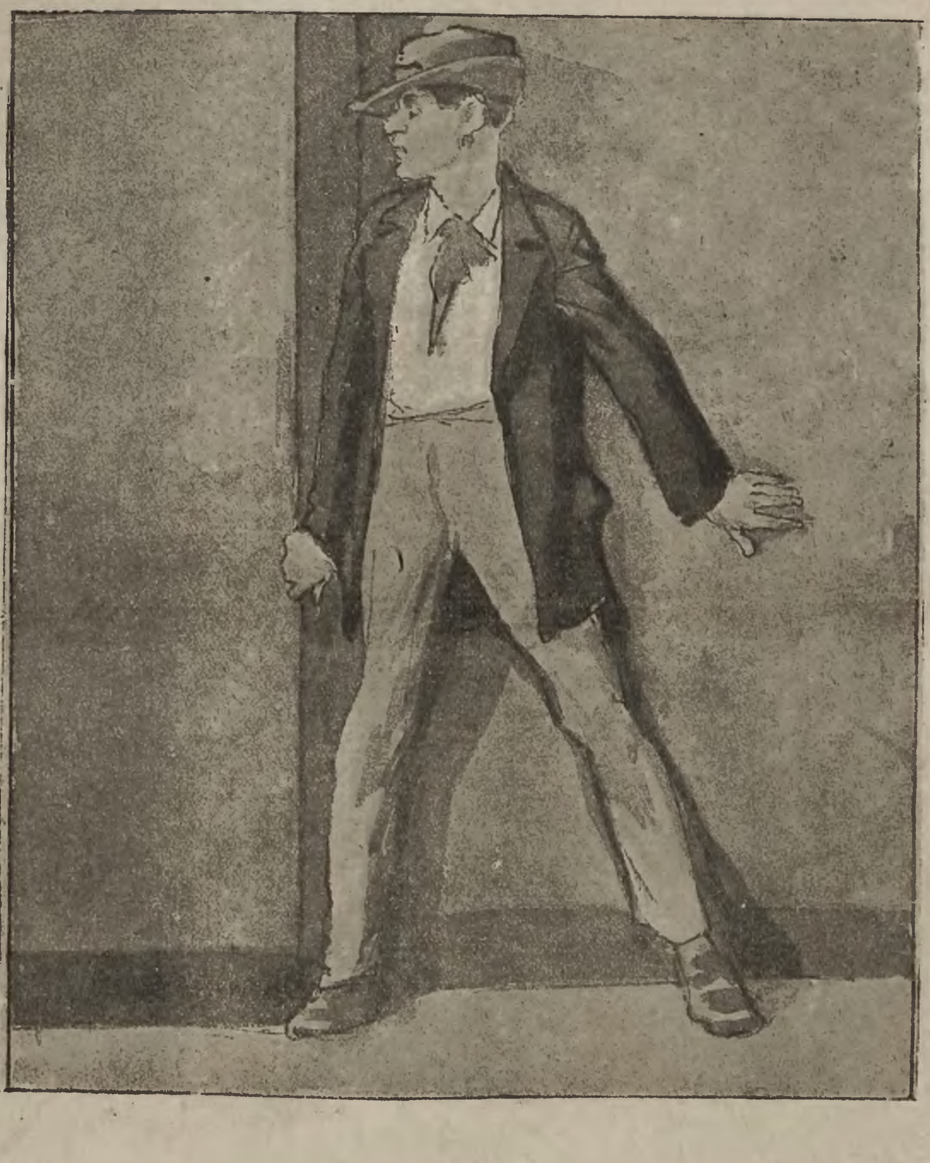
W ten to sposób przybył do hotelu Biot, gdzie zażądał pokoju, chcąc wypocząć po trudach nocy spędzonej w pociągu.

Od pierwszego spojrzenia rozpoznał w służącym hotelowym przebranego ajenta policyjnego.

Więc jednak ten człowiek czepiał się uporczywie jego kroków.

Paweł uznał wówczas za stosowne uwolnić się od tej krępującej opieki i wymknąć się z hotelu bez zwrócenia uwagi swego towarzysza.

Przypadek niespodziewanie przyszedł mu z pomocą. Był nim „szczur“ hotelowy, który węsząc w nim dobrą zdobycz, pospieszył również za nim do hotelu, nie domyślając się, że bezwiednie tym sposobem dopomaga zamiarowi ajenta Lapipe'a.



był to „szczur“ hotelowy...

Ten nocny opryszek, rutynowany już w swoim fachu rozpoczął swoją tajemniczą działalność uśpieniem służącego hotelowego za pomocą chloroformu napuszczonego do pokoju przez dziurkę od klucza. Poczem, pewny już, że nikt mu nie przeszkodzi, wsunął się do pokoju podróżnego, otworzywszy drzwi udoskonalonym wytrychem, uzbrojony w zabójczą swoją maczugę.

Przeliczył się jednak.

Nie zdążył jeszcze podnieść ręki nad głową swojej ofiary kiedy nagle uczuł, że ktoś pochwycił go za ramię z niezwykłą siłą i ugiął ku ziemi.

Nastąpiła krótka, milcząca walka...

Detektyw Newton, ukryty jak wiadomo w sąsiednim pokoju, zaledwie pochwycił szmer jakiś stłumiony.

W dziesięć minut później bandyta leżał bezwładnie na ziemi, ugodzony śmiertelnie własną bronią. Paweł de Vareilles oprzytomniawszy cokolwiek, zrozumiał jaką niespodziewaną korzyść dla siebie może osiągnąć z tej sytuacyi.

Szybko i zręcznie przybrał opryszka w swoje własne ubranie i brzytwą, którą miał przy sobie odciął jego wąsy.

Trup ten, o twarzy gładkiej bez zarostu, mógł bez żadnych podejrzeń uchodzić teraz za trup jego własny. Fałszywa zaś broda przygotowana na kominku, mogła doskonale wytłumaczyć nagłą zmianę zaszła w fizyonomii zmarłego.

Ukończywszy tę przemianę, Paweł otworzył cicho okno i wyjrzał na ulicę. Spokojna była i pusta. Wzdłuż ściany domu wznosiła się latarnia gazowa, rzucając wokoło krąg jasnego, mlecznego światła. Latarnia ta znajdowała się tak blizko okna, że z łatwością można ją było ręką dosięgnąć. W kilka sekund później Paweł stał już na ulicy.

— Uf — sapnął wzdychając ciężko — teraz mogę już być spokojnym! Tajemniczy pasager z „Black Old Dog“, został zamordowany i nikt nie przyjdzie poszukiwać mnie na tamtym świecie. Jednakże ze zbytku ostrożności zatelefonuję temu sprytnemu detektywowi, który tak troskliwie czuwa nade mną, że spać już może spokojnie...

Podniósł głowę ku niebu. W spojrzeniu jego błyszczał promień nadziei i niewzruszonej energii.

— A teraz — zawołał stanowczym, pewnym głosem — do dzieła! i niech mnie Bóg ma w swojej opiece!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwunasty pułk piechoty na froncie białoruskim.

Dwunasty pułk piechoty z Wadowic *valgo*, „Jacki“ należy obecnie do krakowskiej dywizyi, której dowódcą jest generał Raszewski, dawny pułkownik pruskiej konnicy. Dowódcą pułku jest pułkownik Doroszkiewicz, świetny znawca sposobów walk z bolszewikami, bo pochodzi on z wojska rosyjskiego, a walczył przeciw nim pod generałem Żeligowskim, wraz z którym przybył do nas z pod Odessy i objął pułk w Zbarażu.



Dwunasty pułk piechoty na froncie białoruskim: Adjutant 12 p. p. por W. Pruszyński.

Za czasów austryackich pułk, jako 54 pp. należał do najlepszych w Austro-Węgrzech, a wraz z 100 p. cieszyńskim (obecnym 10) z którym tworzył brygadę, pierwszy przełamał front rosyjski pod Gorlicami, w sławnej gorlickiej ofenzywie 2 maja 1915 roku.

O pułku 12-tym mało dochodzi do nas wiadomości, a szkoda, bo to jeden z najdzielniejszych obecnie pułków. Od samego początku wojny walczył on na wszystkich frontach, a tak był ceniony, że generałowie formacyi do których należał, używali wszelkich sposobów, by nie wypuścić go z ręki.



Dwunasty pułk na froncie białoruskim: Dowództwo 12 pp 1) Pułk. Doroszkiewicz dow. 12 pp. 2) Brygadyer P. 3) Porucznik Pruszyński. 4) Por. Tobiasiewicz. 5) Ppor. Kiecoń. 6) Ppor. Głowacki. 7. P. Zofia Groelówna i 8. Janina Willerówna przedstawicielka krak. kom. Wig lijnego.

Na Śląsku Cieszyńskim batalion III żywiecki, pod dowództwem kapitana Mielnika, odznaczył się niebywałem męstwem, a generał Latienik wyraził się, że tego jednego batalionu nie oddałby za cały inny pułk. Kapitana Mielnika nazwano Śląskim Leonidasem, a imię jego zna dobrze lud śląski i powtarza je z uwielbieniem. Jak Czesi bali się tego batalionu świadczy następujący wypadek, którego świadkiem sam byłem w czasie ubiegłego lata: jedna kompania III batalionu wykonywała nocne ćwiczenia; Czesi myśląc że to Polacy zaczynają już wojnę uciekli z całej granicy od Cieszyna aż do Bogumina: „dost wojny, my se ne budeme biti“, i powrócił, dopiero na drugi dzień w południe. Raz w ciemnej nocy sześciu (sic!) ludzi rozbroiło kompanię czeską, która nieprawnie przeszła granicę i przyniosło dowódcy 36 karabinów.



Dwunasty pułk piechoty na froncie białoruskim W drodze na Litwę

Na odsiecz Lwowa już 9-go listopada poszły samorzutnie pierwsze oddziały 12 pułku, a 8 stycznia poszły pełne dwa bataliony z Wadowic pod kapitanem Steczkowskim, a w miesiąc potem kapitan Frank przywiódł znaczne posiłki. Przy dwukrotnej ofenzywie na froncie południowo wschodnim, pułk odznaczył się szczególnie 5 maja pod Lwowem, utrzymując przez 14 dni w 1950 bagnetów odcinek, którego pierwej broniło 6500 ludzi, oraz upartą obroną Trembowli, przyczem, przez swe doskonałe wyćwiczenie i karność, ponosił straty minimalne. Z początkiem sierpnia przeniesiono dwunastkę na Śląsk Cieszyński, dla obrony ludności przeciw Czechom z jednej, a Grenz- i Heimat schutzom i rozmaitym Reichswehrom, valgo bandytom z drugiej strony. Po dwóch miesiącach poszedł pułk do Wilna, gdzie po zajęciu Lepla groziło niebezpieczeństwo ze strony bolszewików, a w listopadzie stanął na froncie litewsko-białoruskim.

Z zasłużonych dla pułku oficerów, należy wymienić jeszcze kapitana F. Altera i por. W. Pruszyńskiego dzielnych organizatorów pułku po przewrocie, nieustraszonego w boju kapitana O. Franka, którego wysoką postać dobrze znali Ukraińcy i brali





Dwunasty pułk piechoty na froncie białoruskim:

Turoń i koza w batalionie żywieckim 12 p. p.

Zabawy w dniu Bożego Narodzenia w batalionie żywieckim 12 p. p.

na cel z daleka. Świetny ten oficer, zachowujący zimną krew w czasie najniebezpieczniejszych bitew, odważnymi posunięciami, dowodzącymi doskonałej znajomości kraju i psychologii nieprzyjaciela, krzyżował zamysły przeciwnika i małemi siłami odnosił



Dwunasty pułk piechoty na froncie białoruskim: Oficerowie 12 pp. na zwaliskach starego Zamku w Zborowie.

świetne zwycięstwa. Z młodszych oficerów odznaczają się dzielnością porucznicy Gołąb i Kubicki, obaj z Żywca, pierwszy dowódca karabinów maszynowych, drugi prowadzący zwykle pierwsze straże, ranny już kilkakroć w czasie „polskiej wojny", dalej porucznik Kwapiński, krakowianin, por. Tobiasiewicz, energiczny dowódca taboru i t. d.

Załączone tu zdjęcia dowodzą, że wesołość nie opuszcza dzielnych żołnierzy i na samym froncie. Widzimy tu osoby, występujące w szopce na Boże Narodzenie, tradycyjnego „turonia", „kozę", rycerzy króla Heroda i t. d.

Nie zapomniał Kraków o swej 6 tej dywizyi na froncie, ale w początku stycznia nadesłał przez delegatki Krakowskiego Głównego Komitetu panny Zofię Gruelównę i Janinę Millerównę podarki dla żołnierzy, przyjęte ze szczerą radością i wdzięcznością.

Ks. dr Tadeusz Kruszyński.

Oddanie Spitzberga Norwegii.

Kiedy dnia 9. lutego podpisano traktat pokojowy i kiedy doszły do końca układy między państwami sprzymierzonemi, a Szwecyą Norwegią i Danią poczęta Norwegia obsadzać Spitzberg, który jej konferencya przyznała. Trzy racye skłaniały Radę Najwyższą do tej decyzyi. Chciano najpierw położyć kres ciągle kotłującej się sytuacyi politycznej, która stanowi wieczne zarzewie niepokojów wśród państw północnych. Idzie tu mianowicie o opanowanie pokładów węgla w Spitzbergu, którego eksploatacya w ostatnich czasach poczęła się szybko wzmacniać. Po drugie państwa sprzymierzone dążyły do przekreślenia wpływów niemieckich, które poczęły się rozszerzać na wyspach archipelagu północnego. Wreszcie przez akt ten chciano dać pewną rekompensatę Norwegii, za zasługi, jakie położyła podczas wojny, oddając cały swój tonaż do rozporządzenia koalicyi.

Obszar Spitzberga przedstawia korzystny nabytek. Bogate pokłady węgla przy racyonalnej eksploatacyi sprzyjają rozwojowi przemysłu węglowego,



Oddanie Spitzberga Norwegii: Widok na góry węglowe nagromadzone przez okres zimowej eksploatacyi.

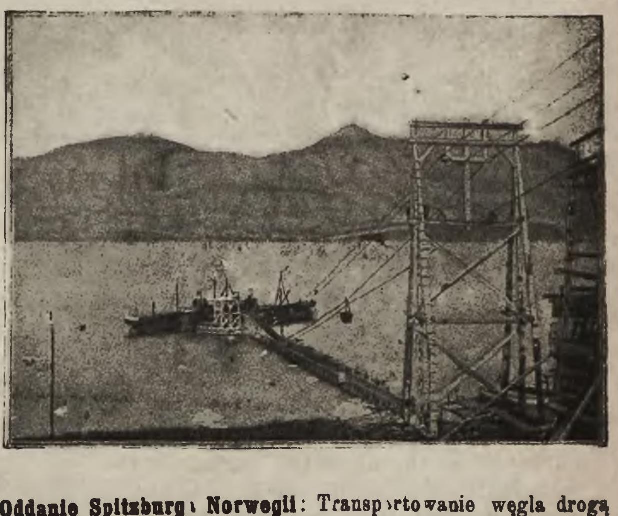
tak cennego w daleko położonych krajach arktycznych.

Norwegia eksploatuje już trzy kopalnie, dwie rozpoczną wydobywać węgiel w najbliższym czasie. Około kopalń tworzą się miasta, zaopatrzone we wszelkie wygody, zakłady elektryczne, szpitale, biblioteki, urzędy pocztowe, doskonale zorganizowane linie kolejowe. W roku 1919 eksploatacya wynosiła 80.000 ton; praca więc o skromnym zakresie.

Kopalnie są położone na zachodzie, nad brzegami niemal wspaniałych zatok, zawsze otwartych przez cztery miesiące pięknej pory letniej dla ruchu okrętowego. Najbardziej dogodny jest Advent bay i Kingsbay. Położenie na dalekiej północy nie pozwala na silniejszy rozrost przemysłu eksportowego, dla ruchu jednak miejscowego jest to cenny obszar. Przy dogodnych warunkach i racyonalnem połączeniu przez ruch kolejowy najdalej wysuniętych miejscowości, może się tu rozwinąć wartkie i kipiące życie. Kopalnie bowiem Spitzberga mogą wydatnie zaopatrywać statki, przez co Norwegia łatwo może rozwinąć wydatny ruch okrętowy w krajach arktycznych, dotychczas spotykając się z trudnościami, będąc zmuszona wchodzić w stosunki z Niemcami.

Kopalnie Spitzberga są doskonale zaopatrzone w najnowsze udogodnienia eksportowe. Zębkowe koleje pozwalają na transportowanie węgla nawet z dość wysoko położonych szybów. Naturalne pomosty, wysunięte głęboko w zatokę, połączone elektrycznemi kolejkami nadpowietrznemi, udogadniają wyładowywanie węgla wprost z kopalń na okręty. Zatoki o głębokiem dnie pozwalają stosunkowo bardzo blisko dojechać statkom transportowym do brzegu i w ten sposób mogą w niezmiernie łatwy sposób zaopatrywać się w węgiel. Prócz tego są bardzo silne starania, aby wprowadzić możliwe udogodnienie przez znaczniejsze jeszcze pogłębienie dna i przez wprowadzenie wszelkich urządzeń portowych. W ten sposób dzięki zabiegliwej i na szerokie rozmiary prowadzonej gospodarki poczyna się ruch wzmacniać, z każdym dniem przebierając coraz szersze i wydatniejsze rozmiary.

Spitzberg może w szybkim czasie stać się środkiem życia handlowo przemysłowego, zwłaszcza, że dzięki swojemu wysokiemu położeniu geograficznemu będzie musiał siłą rzeczy wejść i wejdzie z pewnością w bliższy i nierozerwalny kontakt wszystkiemi gałęziami tamtejszego życia, które może się szerokim strumieniem bardzo wydatnie rozwijać.



Oddanie Spitzburga Norwegii: Transportowanie węgla drogą kolei nadpowietrznej wprost z kopalń na okręty.

Położenie geograficzne równocześnie jednak stoi na przeszkodzie licznym przedsięwzięciom, które tam mogą być rozwinięte. Spitzberg tylko przez kilka letnich miesięcy żyje, ponadto tłumi się tam wszystko w ciasnych ramach lodowych, przycichnie. Przez ten jednak czas trwają przygotowania do ruchu letniego. W ten sposób całe życie ogniskuje się przez miesiące letnie.

Dodać należy jeszcze jedno. Spitzberg jest krainą lodów i śniegów, a przez to wywożono tam polskich politycznych przestępców. Wysunięty daleko na morze, nie pozwalał na ucieczkę.



Oddanie Spitzberga Norwegii: Okręty oczekują na transport węgla w King'sbay.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

32

— Ale przecież uzyskać musisz ich pozwolenie — zauważyła Janka.

— Oh! nie bój się o to! — zaśmiała się ironicznie Isia. — Jak tylko się dowiedzą, że Henryk bogaty, to sami prosić będą.

Obejrzała się uważnie po pokoju.

— Ale ty tu mieszkasz, biedaku! I nad maszyną ślęczysz całymi dniami, co? Ho! ho! ale i z tem będzie koniec i to krótki. Myślisz, że ci się dam tak dalej męczyć? Ludwikowi pokażemy figę, niech szuka wiatru w polu. Słyszałam, ładnie się sprawia.

— Skąd wiesz — zdziwiła się Janka.

— A cóż ty myślisz, żeśmy o tobie zapomnieli. Miałyśmy takiego, co wszystko nam donosił.

Janka już nie pytała więcej. Wiedziała, że tym kimś był Leszczyc i serce zabiło jej żywiej, ale starała się, aby jej zmieszania Isia nie dostrzegła.

— Ale ta twoja pani Anna, powiadam ci piramidalna niewiasta! Wyobraź sobie jeszcze tego samego dnia dowiedziała się o wszystkiem — od kogo, to już się domyśl, i prawie równocześnie z nami przywaliła do Wiednia. Powiadam ci, heca na całej linii. Widziałam, że ten łobuz Henryk wcale rad był z tego, bo mi już w drodze zaczął sumienie rozstrząsać. A potem te awantury! Strach przed papą Walewiczem! morały pani Anny! szukanie na gwałt mieszkania, ten Wiedeń taki straszny, hałaśliwy, powiadam ci stara o mało nie oszalałam. Pani Anna musiała mnie ciągle poić pomarańczowemi kroplami, bo się obawiała o całość mojej biednej głowy.

— Iśka! Iśka! ty roztrzepańcze — uśmiechnęła się Janka. — Ty się już chyba nigdy nie ustatkujesz.

Isia niedbale wzruszyła ramionami.

Po co? Albo mi tak źle? Całą czarną tragedyę moją zostawiłam w Wiedniu i zaraz mi się lepiej zrobiło. W drodzę teraz o mało parę razy nie wyleciałam oknem, tak mi pilno było dojechać do Krakowa i widzieć się z tobą. A co? nie mówiłam ci, że się jeszcze wszystko może dobrze zakończyć i co do ciebie także zobaczysz, ale mi pani Anna nie pozwoliła z tobą o tem mówić.

— Dlaczego? - zapytała niespokojnie Janka.

— A no, pewnie są tam jakieś wyższe racye do tego! Ja się tam na takich wyszukanych polityakach nie znam. Nie pozwoliła mi z tobą o twoich osobistych sprawach mówić i koniec. Tak, jakgdybym nie wiedziała dobrze, co w trawie piszczy. I aż mnie rozpiera do gadania. Bo ty wiesz, że ja zawsze miałam dosyć długi język. Na pensyi to mi ciągle musieli przypinać czerwony order na uspokojenie.

Zamilkła na chwilę i znowu zaczęła poważniejszym już trochę głosem.

— Iśka! Iśka! — upomniała ją z lekkim wyrzutem Janka.

Iśka skoczyła na równe nogi i zaczęła gwałtownie rękami machać.

— Oh! basta! Już niema teraz; Iśka! Iśka! Jest tylko przed tobą ważna persona, przed którą skaczą wszyscy na czterech łapkach. Jaśnie Wielmożna pani Henrykowa Walewiczowa! To nie byle co moja kochana. Henryk pieniędzy ma jak lodu! Będziemy się bawić aż miło. A ciebie to ozłocę od góry do dołu! Rany boskie stara, jak ja wytrzymam do tego ślubu. Jak pomyślę, że już nie będzie pensyi, zakrótkiej sukni, dziurawych pończoch, twojej ciągłej desperacyi, statucików i posiedzeń mamy — to rady sobie dać nie mogę!

Skoczyła nagle do Janki, porwała ją ze stołka i okręciła się z nią kilka razy po pokoju, potrącając z hałasem wszystkie sprzęty. W końcu zaciągnęła ją do drugiego pokoju, gdzie zdyszana upadła na kanapę.

— Bój się Boga, uspokój się Isiu — prosiła Janka, poprawiając wzburzone włosy. — Musisz przecież trochę spoważnieć. Małżeństwo, to nie zabawa.

— Tere fere kuku! — odpaliła Isia, wyciągając się leniwie. — Nasze małżeństwo, to będzie jedno szczęście, jedna radość. Żebyś ty znała Henryka! Ugrząsł tak po uszy, że go prawie nie widać.

— Ale ty go przecież kochasz Isiu? — zapytała niespokojnie Janka, patrząc uważnie w jej twarz.

— Pewnie! Któżby go nie kochał! To nie twój Ludwik! Ale poczekaj, poczekaj stara! I na ciebie przyjdzie jeszcze jasna chwilka — przekonasz się!



Co się ze mną dzieje?...

Dla mnie już niema radości w życiu — westchnęła smutnie Janka, zamyślając się. — Bądź ty chociaż szczęśliwa.

— Eh! gadasz! — obruszyła się Isia. Będzie i dla ciebie radość i to taka piramidalna, że buzię otworzysz! Przyjdziesz dziś do pani Anny? Tak pragnie się z tobą zobaczyć i pogadać.

— Przyjdę wieczorem, bo dzień mam bardzo zajęty!

— Skończy się to, skończy. Maszynkę ładnie zapakujemy, żeby widokiem swoim nie dokuczała zanadto i odpoczywać będziesz jak markiza jaka.

Ruszyła żywo z kanapy i szukać zaczęła zarzuconego kapelusza.

— Idziesz już? — zapytała Janka z żalem.

— Muszę, pani Anna pomyśléć by gotowa, że mnie tramwaj przejechał, albo wilcy jacy porwali. W Wiedniu prawie mnie na krok nie puszczała od siebie. No, bądź zdrowa stara. Czekamy cię wieczorem.

Wybiegła szybko, a Janka długo siedziała zamyślona, nie mogąc powrócić do codziennych zajęć. Przez cały czas rozmowy z Isią drżało jej na ustach gorączkowe pytanie: „czy Leszczyc przyjechał". Ale nie śmiała go wypowiedzieć, nie chcąc wzbudzać w sobie uśpionych marzeń i dręczyć się próżno jakąś nadzieją.

Bo i cóż z tego, gdyby nawet powrócił? Czy zmienić to może w czemkolwiek tryb jej zwykłego życia. Przecież od tylu miesięcy nie dał znaku żadnego, a jeżeli miał o niej jakie wiadomości, to szukał ich nie dla siebie, tylko dla Isi i pani Anny. I lepiej tak. Poco się miała łudzić dalej. Tylko z duszy Janki nie ustępował żal jakiś nieokreślony do niego, bo przecież była chwila, wtedy przed wyjazdem ich wszystkich do Wiednia, kiedy dał jej prawo wierzenia, że nigdy obcą dla niego nie będzie.

Na to wspomnienie Janka uśmiechnęła się gorzko. Prawo?! Cóż to było takiego właściwie? Spojrzenie jedno i serdeczniejszy uścisk ręki? Czyż na tem budować miała kruche pałace nadziei, a wyobraźni pozwolić wyolbrzymiać rzecz nikłą bez wagi? Z dniem jej ślubu drogi ich się rozeszły na zawsze! To oczywiste. Pocóż więc powracać z uporem pijaka do czegoś nieistniejącego już i nie mającego żadnych danych do zmartwychwstania? Jeżeli życie dalsze okaże się za ciężkie, jeżeli będzie zmuszona odejść od męża, aby ratować resztki człowieczeństwa, które w niej pozostały jeszcze — to pójdzie dalej swoją drogą, nie oglądając się na pomoc niczyją. Przywtązanie Isi i życzliwość pani Anny powinny jej wystarczyć. Tylko nie trzeba marzyć jak pensyonarka i nie osłabiać duszy próżnem wspomtnaniem rzeczy umarłej już. — Widocznie to już taki jej los — aby z życia dla siebie nic jaśniejszego nie wynieść i żyć szarymi dniami smutku i rezygnacyi. Przeszła raz koło szczęścia, nie umiejąc wyzyskać, to, czy sama temu nie jest winna? Trzeba było brać i nie patrzyć na to, co się poza nią dziać mogło!... I do czegoż doprowadziło w końcu to bezpłodne jej poświęcenie? Nikomu nic dobrego nie dało, a ją wyzuło z tego. co miała najdroższego. Ale już teraz najwyższa pora, aby pomyśleć o sobie i z całego tego pogromu młodości jej i pragnień gorących — uratować choć trochę spokoju dla siebie na przyszłe lata i prawo nie wstydzenia się przed samą sobą.

Cały dzień przeszedł Jance przy pracy na podobnych rozmyślaniach. Machinalnie wykończała zamówioną robotę, rozmawiała z klientkami, słuchając spokojnie, z pobłażliwym jakimś uśmiechem, ich plotek lub wyrzutów, jeżeli która nie czuła się z niej zupełnie zadowolona, ale myśl jej daleką była od tego wszystkiego, co ją z bliska otaczało. Przed wieczorem zamknęła mieszkanie i odniosła klucz do Jachimskiej na wypadek, gdyby Ludwik się zjawił i poszła do pani Anny.

Szła powoli zła na wzruszenie, które ją nagle ogarnęło, im bardziej zbliżała się do mieszkania, nie chcąc nawet przed sobą przyznać, że lękała się, a jednak pragnęła spotkania się z Leszczycem.

Otworzyła jej Isia i z miejsca zssypała gradem słów i uścisków tak, że odchłonęła trochę i już swobodnie całkiem mogła się przywitać z panną Anną.

Leszczyca nie było i nikt o nim nie wspominał. Jankę zdziwiło nawet, że pani Anna, a nawet nie panująca nigdy nad sobą Isia — musiały wszelkiej rozmowy, w której jego imię wymówione być mogło.

Parę razy tylko zauważyła badawczy a serdeczny wzrok pani Anny, ciążący na sobie — ale odwracała głowę nie pozwalając nic wyczytać ze siebie. Chłód jakiś dziwny ogarnął ją nagle i pomimo żywej radości jaki jej sprawiał widok rozpromienionej Isi i panny Anny — czuła nieprzyjemną pustkę, ogarniającą ją do okoła i usilne pragnienie pozostania samej. Odeszła dosyć wcześnie tłumacząc się bólem głowy i obiecując przyjść nazajutrz na dłużej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zjazd kierowników odbudowy województwa lubelskiego: Uczestnicy Zjazdu.

Zjazd kierowników biur odbudowy woj. lubelskiego.

Z dnia na dzień postępuje odbudowcza praca zniszczonych przez wojnę ziem. Dokłada się dziś wszelkich starań, aby ożywić skostniały ruch przemysłowo handlowy i aby to, co wojna przyniosła, usunąć. Idzie w dalszej mierze, aby rumowiska zniszczeń zastąpić kwitnącem życiem. Polska przez wojnę poniosła ogromne straty; gdzie się obrócić, pozostają jeszcze ruiny domostw, ślady strasznej burzy. To też praca wre.

W dniach 25 i 26 lut. go odbył się pierwszy na ziemiach Polski Zjazd kierowników państwowych biur odbudowy województwa lubelskiego. Zjazd miał za zadanie urzeczywistnienie uchwał sejmowych, powziętych w celu podźwignięcia z ruiny nawiedzonego przez klęskę wojenną kraju naszego.

Naokoło sceny.

Stanisława Wysocka.

To czego Delsarte jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku domagał się od aktorów, czego równocześnie pragnął Lessing dla teatru, a Stanisławski w praktyce wprowadzał, stara się kontynuować pni Wysocka. Wytworzył się w ten sposób nowy kierunek w sztuce aktorskiej. Na scenie należy wskazać co jest, a nie co będzie, co jest w życiu, a nie to co będzie na scenie. Więc „przyroda", na scenie, a nie „teatr" na scenie. Wprowadzenie życia, które stara się tchnąć autor w dzieło to, jest motyw nowego teatru i o to walczy Stanisławski i o to stara się Wysocka.



Na około sceny: Wysocka w roli „Matki Makrymy" w „Legionie Wyspiańskiego".

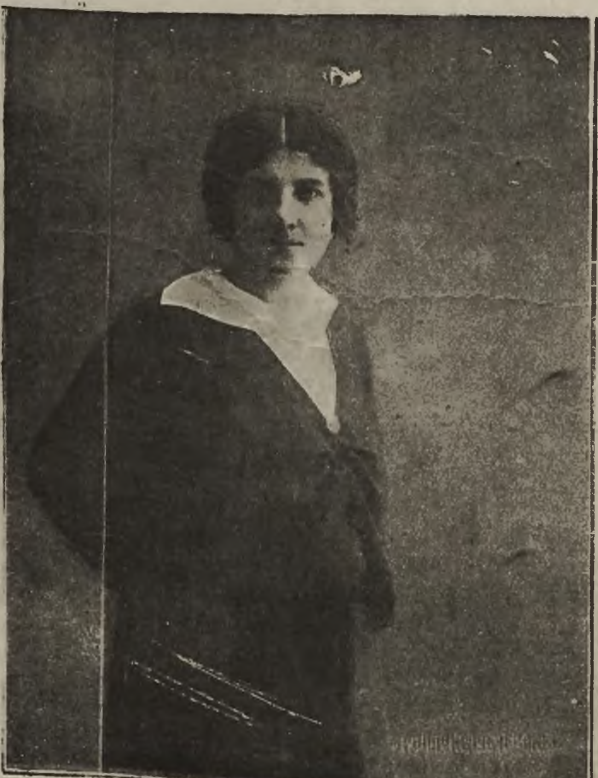
Jakimi środkami operuje, aby osiągnąć swoje zadanie? Tu zachodzi pewna różnica między Stanisławskim a Wysocką. Stanisławski starał się o zredukowanie wpływów gry aktorskiej na publiczność i dążył w ten sposób do oddania sceny autorowi. Osiągnąć to chciał między innymi przez szerokie i wystawne tło sztuki, przez dekoracye. Czy było to jednak wszystkiem? Nie. Dekoracye? Dobrze. Ale dekoracye to jeszcze nie jest wszystko, przeciwnie to jest jeszcze mało. To też Wysocka stara się ten środek jeżeli nie obalić, to przynajmniej zrównoważyć, okazać, że wystawne dekoracye są dla autora i aktora równem zabójstwem, jak wysuwanie na plan pierwszy gry. I dlatego dąży do możliwego zredukowania wystawy, czyli do prymitywizmu. Jak to pojmuje, widzieliśmy w „Lilii Wenedzie", zwłaszcza w ostatniej odsłonie, która przedstawia Rubikon całej sztuki i jest małą ścianką oddzielona od komizmu, o czem łatwo można było dotychczas przekonać się: dotychczasowe wystawienie „Lilii" mimo często znakomitego, wprost koncertowego obsadzenia ról, wywoływało już nie błogi uśmiech pol towania na ustach, ale wprost wybuch humoru. Wysocka zdołała to bardzo szczęśliwie ominąć, ściśniając ramy dekoracyi, wysuwając na pierwszy plan myśl autora. I to jest poważna i bardzo szczęśliwa partya reformy.

A e rzecz inna, drugi podstawowy czynnik po wodzenia sztuki, gra aktora. Na nią kładzie Wysocka wielką uwagę i zdaje się za wielką. Delsarte pracował pilnie nad grą aktora i silnie akcentował ruchy. Zupełnie słusznie. Wysocka stara się o szczegółowe wypracowanie ruchów i tu przeciąga nici. Prymitywizm dekoracyi zastąpiła przez „wystawę" ruchów, widz już nie zwraca uwagi na dekoracye, ale na ruchy, które przez swoją specyalną rolę absorbują go całkowicie. Ekspresyonizm sztuki aktorskiej tutaj poczyna walić się. Specyalny układ rąk, który Wysocka opracowuje do najmniejszych szczegółów pokrywa myśl autora, wpada się z jednej ostateczności w drugą. Jest to dobre, doskonałe, wprost koncertowe dla teatru greckiego. O ile więc w „Elektrze" Hoffmanna i „Lilii Wenedzie", osnutej na motywach teatru greckiego musi się podziwiać grę Wysockiej, o tyle w „Rosmelsholmie" Ibsena odczuwa się pewien brak tego, czego spodziewać się musi w Ibsenie. Teatr grecki, który był teatrem „zewnętrznym", domaga się ekspresyi mimiki, Teatr nowożytny, który jest „teatrem duszy", na to zgodzić się nie może.

Dlatego też musi równocześnie razić skandowanie wierszy. Realizm wykreśla ze swego zakresu sztuczność, a ustawienie z drugiej strony cesury takiej, jaką widzieliśmy w „Rosmelsholmie" i „Ponad śnieg" Żeromskiego niemile uderza.

Widać więc, że reformy Wysockiej nie doszły jeszcze do pełnego skrystalizowania i duchowego pojęcia sztuki aktorskiej, jednak przy pewnem zharmonizowaniu i usunięciu jaskrawości mogą i pewnie pchną ją na nowe i zupełnie szczęśliwe drogi.

A. B.



Stanisława Wysocka.



Naokoło sceny:
Wysocka w roli „Jewdochy" w „Sędziach" Wyspiańskiego.



Wysocka w roli „Hamleta" Szekspira.

Kronika tygodniowa.

Dzień 29 lutego b. r., niedziela, przeznaczony był na manifestacyjny wiec w sprawie cieszyńskiej, który się miał odbyć, o ile pogoda dopisze, na Rynku krakowskim.

Według zapowiedzi Komitetu, ogłoszonych w krakowskich dziennikach, pierwszy pociąg ze Ślązakami, którzy zgłosili masowo swój przyjazd, aby w ten sposób dać wyraz swemu pragnieniu najściślejszego połączenia z resztą Polski, miał przybyć na krakowski dworzec kolejowy o godzinie jedenastej minut dziesięć, drugi w dwadzieścia minut później, skąd, po oficyalnem powitaniu, miano się udać w uroczystym pochodzie na Rynek, gdzie ustawiono dwie trybuny dla mówców. Szpaler miała tworzyć młodzież szkolna, ulice na powitanie miłych gości przybrać miały odświętny wygląd, tembardziej zaś Rynek, jako miejsce wiecu.

Ponieważ odjazd miał nastąpić wieczorem, a wiec nie trwał aż do ostatniej chwili, należało się spodziewać, że Komitet postara się o to, aby goście mieli się gdzie i czem posilić, zwłaszcza że Kraków znany jest przecież w całym świecie ze swej staropolskiej gościnności. Wiec i przedstawienia w obu miejskich teatrach, to była strawa dla ducha, ale i ciało domaga się też od czasu do czasu o swe prawa, a nie każdy z uczestników zaopatrzył się w zapasy na drogę, wiedząc o tem, że jedzie do Krakowa, gdzie go z pewnością przyjmą po staropolsku.

Tak być miało, a raczej powinno, było natomiast trochę inaczej.

Już w niedzielę rano ogłoszono w dziennikach, że program uległ pewnej zmianie, pierwszy bowiem pociąg przybędzie już o dziewiątej, następne zaś w półgodzinnych odstępach, należy zatem zebrać się wcześniej celem powitania przybyłych.

Niestety, o tej zmianie dowiedziało się wielu Krakowian zapóźno, gdyż to była niedziela, przeznaczona z urzędu na spoczynek, wychodzi się więc z domu później niż zwykle, nie kupuje się gazet, gdyż ajencye pozamykane.

Na dziewiątą zebrało się więc niewiele ludzi, przekonali się przecież, że przyszli zawczas, pierwszy bowiem pociąg spóźnił się „ze zwykłą punktualnością", a za nim następne. Czekano jednak cierpliwie, aż się doczekano... tych, którzy się wybrali na powitanie o jedenastej. Ale i ci nie potrzebowali się spieszyć, bo pociągu z gośćmi jakoś nie widać...

Nadszedł wreszcie pierwszy pociąg gdzieś koło dwunastej, witających szeregi tymczasem się bardzo przerzedziły. Jedni poszli do kościoła, drudzy na flaki, obiecując sobie, że się potem spotkają na Rynku.

Spóźnienie się pociągów nie zależało od Komitetu i o to się go nie wini, szkoda natomiast, że zapomniał przypomnieć magistratowi i właścicielom domów, iż wypadało budynki miejskie i prywatne przyozdobić flagami, nie zauważyliśmy zaś literalnie ani jednej. Czyżby były w praniu?

Tego rodzaju objawienia swej radości nie powinno się właściwie nikomu przypominać, magistrat i obywatelstwo winni to byli uczynić z własnej inicyatywy, lecz w Krakowie taki już zwyczaj, że, jeżeli się nie przypomni, to widać nie potrzeba.

Gdy kronikarz zwrócił na tę okoliczność uwagę jednego z ojców miasta (naturalnie także kamienicznika), ten odrzekł:

— Panie drogi!... Rynek nasz jest tak piękny, że żadnych sztucznych ozdób nie potrzebuje.

I trzeba mu było przyznać racyę, zwłaszcza jeżeli się kiedy oglądało krakowskie flagi, których większość przypomina od roku przynajmniej nieprane ścierki.

Aby przecież oddać każdemu słuszność, jaka się mu należy, trzeba przyznać, że Komitet postarał się bodaj o pogodę, która dopisała pod każdym względem. A jeszcze w sobotę wieczór nie miało się nadziei, że się wypogodzi. Widocznie i w niebiesiech są zdania, że w sprawie cieszyńskiej, spiskiej i orawskiej jest słuszność po naszej stronie. Czeskie wpływy tak wysoko jeszcze nie doszły...

Ślązacy udali się zatem z dworca na Rynek, nie wiedzieli przecież, w którą stronę się zwrócić, pod Mickiewicza, czy w stronę ratusza, a nie znalazł się nikt, kto chciałby ich skierować na właściwe miejsce.

Wygłoszono odpowiednie przemowy i powzięto rezolucye, o czem Czytelnicy wiedzą z pism codziennych. Po drugiej godzinie od strony ulicy Szewskiej nie było już nikogo, natomiast pomnik Mickiewicza był oblężony. Z zapartym oddechem słuchano przemówień, które zrobiły głębokie wrażenie na słuchaczach.

Krakowianie powoli, dyskretnie, wycofywali się do domów na obiadek.

— Radca dobrodziej nie czeka końca? — pytam mojego towarzysza, z którym przedtem rozmawiałem o dekoracyi miasta.

— A nie! — odpowiedział. — Coś mnie mdli w okolicy żołądka, bo to człowiek od rana nie miał nic w ustach.

— No a tradycyjne flaczki?

— Jadłem przed dziesiątą, ale to porcyjka dla kotka, nie dla dorosłego człowieka!... Zresztą moja stara nie lubi, jeżeli się spóźnię, a w niedzielę u nas obiad o drugiej!..

— Ciekawy jednak jestem — badałem dalej — czy też postarano się o to, aby nasi goście znaleźli gdzieś jaki posiłek. Wyjechali z domu wczesnym rankiem, wrócą późną nocą.. A zdaje mi się, że radca dobrodziej jest też członkiem Komitetu..

— Jestem!... Jestem!... Nie odmawiam nigdy, gdy się rozchodzi o jakiś piękny cel. Ale muszę się przyznać, że na żadnem posiedzeniu nie byłem, gdyż miałem czas czem innem zajęty. Zresztą, kochany panie, Ślązacy to są ludzie praktyczni, więc z pewnością żaden z nich nie zapomniał o zaopatrzeniu się na drogę!... Ja tam, o ile wybieram się gdzieś, mam zawsze ze sobą prowianty...

— Jednak oni jechali do Krakowa, a Kraków to przecież serce Polski, znany w całym świecie z swej gościnności...

— Zasługuje też na to!.. Mało to zjadły i wypiły u nas te różnorodne zagraniczne misye?

— Tembardziej zatem powinno być dla swoich!... Ładne wyobrażenie będą mieć o tem sercu Polski!...

— A cóż serce ma wspólnego z jedzeniem?... Zresztą oni przyjechali tu podnieść swego ducha, a nie wzmocnić ciało... Poza tem wie pan najlepiej, że jesteśmy biedni i budżet zamykamy stale deficytem...

— Tak!... Wiem!... Serce Polski cierpi na chroniczną niedomykalność zastawki budżetowej... Ale to nie ma nic do rzeczy!... Nikt nie wymaga, aby miasto na to łożyło, skoro ono ma pieniądze tylko na przyjęcie zagranicznych darmozjadów!... Wystarczyło zupełnie, aby Komitet postarał się o to, aby było gdzie i co, a oni chętnie za to zapłacą!...

— Może Komitet pomyślał o tem!... Ja tam nie wiem — tu spojrzał na zegarek. — Żegnam kochanego pana, bo już druga, a mam na obiad wieprzowinkę ze skórką...

I pokazało się, że Komitet o tem zupełnie nie pomyślał. Po skończeniu wiecu zaczęli się nasi goście kręcić bezradnie po mieście, szukając jakiej jadłodajni, aby się pokrzepić, niestety, jedne już zamknięte, w drugich, co było, wyszło, gdyż gościnni Krakowianie, nie mogąc się doczekać na przybycie gości, urządzili gwałtowną ofenzywę na bufety i zjedli, co było, a było tego niewiele, bowiem panowie masarze zmuszają nas do ścisłego przestrzegania postu. Kardynał Kakowski ogłosił wprawdzie, że wolno obecnie przez cały wielki post jeść mięso i zwierzęce tłuszcze (jeżeli się ma na to...), krakowscy masarze nie chcą na to pozwolić, byśmy lekkomyślnie zaprzepaścili swe dusze i pochowali wędliny, słoninę, smalec...

Głodowali zatem biedacy, którzy do nas z taką radością spieszyli, ale może to i lepiej.. Gdyby się w niektórych restauracyach przekonali, jakie są ceny, i porównali je ze swemi, powiedzieliby z pewnością:

— Ten Kraków to naprawdę drogi, nie tylko dla serca, ale i dla kieszeni!...

Zatem konkluzya, że nie mamy szczęścia do komitetów, a komitety do urządzania uroczystości. Bo i cóż byłoby szkodziło, gdyby czy to w jakimś miejskim budynku, czy też w którym refektarzu klasztornym urządzono bufet, niechby nawet za opłatą (choć na to gościnność nie pozwala!...). Nadawała się na ten cel zupełnie miejska kuchnia obywatelska i tam należało skierować przybyszów po skończonym wiecu.

Nie znalazłszy zatem nic, czem możnaby się pokrzepić i wzmocnić, wesoło, choć o głodzie, pospieszono do obu miejskich teatrów, stąd zaś na kolej i pożegnano Kraków, który słynął z gościnności, ale.. za czasów Wierzynka, dziś zaś ma jej napady, lecz zwykle nie wtedy, kiedy potrzeba...

Niema przecież złego, aby na dobre nie wyszło. Na wszystko jest wytłumaczenie...

A gdyby tak w samej rzeczy urządził Kraków coś na przyjęcie gości, obliczył, że będzie ich dwa tysiące i na tyle się przygotował, a samych Krakowian zaprosił... sześć tysięcy?... Powtórzyłoby się to, co było na owym słynnym rauie w Sukiennicach (Krakowianie tego rodzaju wezwaniom są bardzo posłuszni i stale przybywa ich więcej, niż wydano zaproszeń...). Niejeden z gości mógłby to przypłacić zdrowiem, a byłaby to woda na czeski młyn. Pepiczki mówiliby potem:

— A widzicie!... I pocożeście tam jechali?... My wam tu nie pożałujemy niczego, ale głosujcie za nami!...

Sama idea wiecu była bardzo trafnie obmyślaną i Kraków zupełnie odpowiednio na jego miejsce obrany. Śląsk przez usta swych przedstawicieli i masowe zjawienie się tamtejszej ludności ze wszystkich sfer i wszystkich stronnictw zamanifestował najlepiej swą polskość i powiedział, że byt polski, jest polski i będzie polski, że żadna siła nie zmusi go do zerwania łączności z Macierzą i że próżne są zakusy i wysiłki czeskie. Z tem musi się liczyć i koalicya i jej „bezstronne" przedstawicielstwo w Cieszynie. Na pożegnaniu Ślązaków i Orawiaków w Czarnym Dunajcu oświadczył jeden z mówców, że, jeżeli nie dorzucą przy plebiscycie kartki głosowania, to dopisze polski bagnet, w Krakowie wspominano o silnej śląskiej pięści, z którą się Czesi mieli już sposobność bliżej zapoznać..

Śląsk, Spisz i Orawa muszą być nasze, bo tego wymaga sprawiedliwość, dla której względy historyczne i etnograficzne powinny być ważniejsze, niż węglowe!

I dlatego powinniśmy w tamtą stronę spoglądać z ufnością, bo ten lud, który tam mieszka, z pewnością nas nie zawiedzie. Dotąd może zbyt mało poświęciliśmy mu uwagi i zbyt późno ocknęliśmy się, to tymczasem obca nieroztropna wdarła się na nasze obejście i poczęła ryć nasze grzędy.

Lecz czasu jest jeszcze dość, aby złe naprawić, otwierając swe serce tym, którzy tyle wycierpieli, tyle łez i krwi wylali, dlatego tylko, że są Polakami.

Ślązaków powinien był Kraków przyjąć tak hucznie, aby echo tego przyjęcia odbiło się głośno nie tylko w Pradze, ale i w Paryżu i Londynie.

A jeżeli słuszna sprawa nie zwycięży?...

Ha!... W takim razie potrafimy się upomnieć o nasze prawa, bo są jeszcze tacy, którzy mają jakieś ideały i potrafią ich bronić, choćby z szablą w dłoni.

I nie braknie ich nawet i w tem najmłodszem pokoleniu, które w czasie obecnej wojny wprost z ławy szkolnej zaciągnęło się pod sztandary, aby, jeżeli zajdzie tego potrzeba, oddać i życie w służbie Tej, którą kochać uczyła ich matka od pierwszych dni młodości!...

Jakie jednak będzie przyszłe pokolenie, powojenne, wychowane przez matki, dla których ideałem *two-steepy* i *fox-trotty?...*

Takie pytanie nasuwa się po przeczytaniu „małego fejletonu" w *Kuryerku* p. t. *„Dwa pokolenia"*.

Bohaterką jest tu panna Niusia, która wywołuje oburzenie swej babci, produkując się wobec niej nowomodnym tańcem *two-steep*..

Kto zna nowe wymysły w dziedzinie choreografii, ten wie, że im taniec bezsensowniejszy i dzikszy, tem dziś modniejszy.

Babcia pojąć nie potrafi, jak młoda panienka może publicznie wykonywać podobne ruchy i pyta ciekawie, co też mówił do niej jej danser w czasie tańca...

A Niusia na to, że ów śliczny porucznik odzywał się do niej tak, jak powinien dobrze wychowany młody człowiek do młodej panienki na sali balowej, to jest, że jest ślicznie zbudowana, że ma rasowe nogi, że pachnie jak wiosenna łąka, że jej pożąda...

I nic w tem dziwnego, że babcia, wychowana w zupełnie innych zasadach, zemdlała, bo i w kronikarzu artykulik ten wywołał bardzo nieprzyjemne uczucie i przeświadczenie, że pani *„haef"* młodym przedstawicielkom swej płci oddała bardzo niefortunną przysługę, przedstawiając je w daleko gorszem świetle, niż na to zasługują. Są może między niemi takie „wojenne półdziewice", ogół przecież jest inny.

I mimowoli nasuwa się myśl, jakie też przyszłe pokolenie wychowa matka, wyrosła w atmosferze obecnej i lubującem się tego rodzaju „balową" rozmową, która za naszych dawnych, z pewnością lepszych czasów, mogła mieć miejsce na... *Florabalu* lub *Reducie* w starym teatrze...

Ale czasy się zmieniają, zmieniają się z nimi i ludzie. Kronikarz należy do tego samego pokolenia, co i owa babcia, i jest z tego zadowolony, patrząc bowiem na młodzież i na jego życie, jakiemi idzie tory, chciałby powiedzieć: „Przestańcie, dzieci, bo się źle bawicie...", boi się jednak, by go nie okrzyczano zacofańcem, nie rozumiejącym nowych prądów i postępu...

Jeżeli to jednak ma być objawem postępu, to stokroć byłoby nam lepiej wrócić do owych czasów, w których brała udział w życiu babcia, kierując się zasadami *savoir vivre'u*.

Autorka *„Dwu pokoleń"* nie osiągnęła celu... Babcia, w jej przedstawieniu, budzi sympatyę, a Niusia, co najwyżej niesmak, a nawet niejeden młody kawaler, czytając ten artykulik, powie zupełnie seryo:

— Od powietrza, głodu, ognia i wojny i takiej żony zachowaj mnie Panie!

A porównując oba te pokolenia, z których jednego przedstawicielką jest babcia, drugiego zaś Niunsia, musimy przyznać, że tamtemu należy się cześć i uznanie, bo ono wydało tych, którzy tą chlubą okryli oręż polski i szeroko w świat roznieśli sławę polskiego imienia, a bardzo poważne wątpliwości nasuwają się na myśl, jaką też będzie progenitura tego drugiego...

Ale, powtarzam, ta Niunsia to wyjątek!...

BERBERYJSKIE KOZY

(Tłumaczenie z angielskiego).

5

Usiadła na krześle przy łóżku.

— Nie mogłam spać.

— Która... a.. ah!... która godzina?

— Nie wiem, ale to nic nie znaczy, chcę z tobą pomówić.

— O czem? Ciekawym, jakie będzie dzisiaj polowanie.

— Crumpet, czy nie masz już tego dość?

— Dość... co chcesz powiedzieć?

— Czy nie jesteś już zmęczony zabijaniem stworzeń?

Wydało się jej, że widzi w mroku wyraz zdumienia na jego twarzy.

— Zmęczony zabijaniem stworzeń? dlaczego?

— Czy nie wolałbyś raczej ożywiać, wlewać życie w to, co właściwie nie żyje? Nie wolałbyś, Crumpet?

— Co ty mówisz, Kitty? Ożywiać, wlewać życie! Nie jestem Opatrznością.

— Nie, ale...

— Czekaj... — Położył rękę na jej ramieniu. — Czy to nie Achmed prowadzi muły? Która godzina? Idziemy dzisiaj dalej w góry.

— Chcesz iść? Chcesz iść daleko?

— Achmed powiada...

— Nie chcę nic wiedzieć o Achmedzie. Brzydki, szkaradny człowiek.

— Brzydki! Co to szkodzi, że brzydki? Doskonały do wynajdywania miejsc gdzie są...

— Nie mów o berberyjskich kozach, Crumpet. Na miłość Boga nie wymawiaj tych wyrazów!

— Przecież na berberyjskie kozy polujemy. Co tobie, Kitty?

— Nie potrafię ci wytłómaczyć tak, żebyś to zrozumiał.

— Ii... ja! Ii... ja! — rozległ się okrzyk z dołu w połączeniu z odgłosem kopyt na bruku. Sir Claude wyskoczył z łóżka.

— Na Jowisza, to Achmed! Muszę się ubrać. Mówię ci, Kitty...

Lecz wysunęła się już jak cień z pokoju. Jak tylko się ubrał wyszedł na werandę, gdzie zastał żonę opartą o poręcz, patrzącą na Achmeda i muły.

— Idź do łóżka, Kitty — rzekł.

— Po co, ponieważ nie mogę spać?

— Zawsze spisz wyśmienicie.

— Tak.

— Czy ci ta miejscowość nie służy?

Spojrzał na nią z niepokojem, lecz była pewną, że niepokoił się o swoje polowanie.

— Może i nie — odparła.

— Chciałabyś stąd wyjechać?

Patrzał na nią prawie ze strachem.

— Berberyjskie kozy — pomyślała i gorzko się zaśmiała. Czytała myśli męża z tak straszną łatwością, przenikała go z taką dokładnością! I co było w nim do widzenia?... Stado berberyjskich kóz.

— Oh, ruszaj już Crumpet! — rzekła prawie szorstko. — Nie stój tutaj, zadając mi różne pytania, kiedy jesteś cały zajęty myślą zabijania stworzeń. Pomyśl tylko, Crumpet, zabijać niewinne, szczęśliwe stworzenia! I zaśmiała się znowu z ironią, która go zdziwiła.

— Nie czujesz się dobrze, Kitty — rzekł — nie jesteś sobą.

— Jak gdybyś wiedział, jaką jestem w rzeczywistości!

Rzuciła mu te słowa prawie z gniewem. W tej chwili była podobną do małej tygrysicy.

Patrzał zdumiony, a kiedy się odwróciła, wyszedł mrucząc do siebie.

— Co u licha stało się Kitty? co jej jest? — Przyszło mu na myśl, że pewnie się nudzi i postanowił wyjechać z El-Akbara, nie czekając końca tygodnia, wyrzekając się polowania na gazelle. Zawahał się nawet, będąc już na dziedzińcu, czy nie zaniechać wycieczki, wrócić do żony i wyjechać z nią jeszcze tego samego dnia do Beni-Mora.

Lecz Achmed trzymał gotowego muła. Chłodne górskie powietrze, dzika, skalista pustka, wschód słońca nad bezbrzeżną pustynią i łup — łup tak trudny do zdobycia — przyszły mu na myśl. Posiadał wyobraźnię myśliwego, o czem Lady Wyverne nie wiedziała. Ta wyobraźnia kusiła go tak samo, jak ją kusiły w jej samotnych godzinach postacie wychylające się z pustyni, szepcząc do niej: „Pójdź — pójdź tam, gdzie ciebie zaprowadzimy".

VI.

Lady Wyverne nie spotkała spahisa przy śniadaniu, poprzedniego dnia także go nie było; pomyślała, że jest zarówno człowiekiem światowym, jak człowiekiem pustyni. Przebywał w towarzystwie francuskich oficerów, mieszkał jakiś czas w Paryżu i wiedział, kiedy może puścić wodze swym pragnieniom a kiedy je powstrzymać. Elegancka publiczność table-d'hôte'u szła spać zaraz po kolacyi, zostawał tylko jeden arab, pilnujący drzwi wchodowych, który się nie bawił plotkami; spahis już o tem pomyślał.

Po śniadaniu Lady Wyverne wyszła wąwozem przez bramę Sahary w towarzystwie hotelowego przewodnika, szczupłego, sennego chłopca, który się uśmiechał, palił papierosy i przeważnie milczał. Kiedy przyszli nad rzekę, usłyszała dźwięki fujarki i ujrzała pod skałą siedzącego chłopca araba, grającego jakąś kapryśną melodyę. Zatrzymała się na chwilę, żeby posłuchać. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że sama jest igraszką kaprysu, lecz było coś w tej lekkiej muzyce co ją pociągało.

— Czy on zawsze tutaj grywa? — zapytała przewodnika.

— Zawsze, madame.

— I to go nie nudzi?

— Madame?

— Czy nie jest znudzony siedzieć zawsze na tem samem miejscu i czynić ciągle to samo?

— Nie wiem, madame.

Było widocznem, że przewodnik nie miał pojęcia, co to jest znudzenie. Lady Wyverne spojrzała na niego prawie z zazdrością. Pośpiech i gorączka europejskiego życia wydawały się tutaj więcej niż dziwne. Zapytywała siebie, czy w razie, gdyby pozostała w tym kraju, przeniknęłaby ją jego senna cisza, czy jego prostota uczyniłaby ją prostszą?

— Czy pójdziemy do czerwonej wioski madame?

— Która to? Ta na wzgórzu?

— Tak, madame.

Skinęła głową. Wyniosłe palmy, które rosły nad rzeką i otaczały wieńcem brunatne chaty, pociągały ją swym wdziękiem. Zeszła wraz z przewodnikiem w stronę zielonego gąszczu i pieśń młodego chłopca ucichła w dali w gorącym uścisku słońca.

Doszedłszy do skrętu rzeki, Lady Wyverne stanęła rozglądając się, czy niema kamieni, po których mogłaby przejść na drugi brzeg, lecz nie widząc ich nigdzie, zwróciła się do przewodnika.

— Jak przejdziemy przez rzekę?

— Przeniosę madame. Lecz musimy pójść trochę niżej, w tem miejscu woda głęboka.

Poszli zwolna dalej nierównym, brunatnym gruntem pomiędzy wysokiemi pniami. Lady Wyverne spojrzała uważniej na przewodnika. Był to bardzo młody szczupły chłopiec. Następnie spojrzała na wodę.

— Nie będziesz w stanie mnie przenieść — rzekła.

— Oh! owszem madame. A zresztą, chociażby madame upadła, nie utonie tutaj.

Nie pogła się powstrzymać od śmiechu na takie powiedzenie.

— Czy bród bardzo daleko? — zapytała.

— Tam, gdzie to morelowe drzewo pochyla się nad wodą, madame. — I wskazał palcem. W tej chwili jakaś postać wyszła z gaju i stanęła pod drzewem.

— Otóż Benszaatal! — rzekł przewodnik.

— Benszaatal?

— Spahis.

Lady Wyverne patrzała, przysłoniwszy oczy ręką.

— Kto to taki? — zapytała niedbałym tonem.

Lecz poznała towarzysza swych nocnych spacerów i uderzenia jej serca stały się szybsze.

— Mieszka w tym samym hotelu co i madame. Madame go widziała.

— Ah, oficer.

— To najlepszy jeździec na Saharze. Ze swego rewolweru może trafić każdy kamień, rzucony w górę, o tak! — Rzucił kamień w drżące powietrze.

— Wszystkie kobiety, które go tylko zobaczą, kochają go. W Algierze umierają z tęsknoty, a na pustyni, dokąd wraca, będą po nim płakały od rana do wieczora.

Gwizdnął, naśladując głos ptaka. Człowiek, stojący pod drzewem, zwrócił się, patrząc w ich stronę.

— Cicho — rzekła Lady Wyverne.

Lecz chłopiec nie słuchał. Uszczęśliwiony, że mu się udało, gwizdał głośniej niż przedtem.

Spahis zaczął iść ku nim.

Zbliżając się, podniósł rękę do turbanu i skłonił się poważnie, mówiąc:

— Zdaje mi się, że miałem zaszczyt widzieć madame w hotelu. Madame życzy sobie przejść przez rzekę?

Lady Wywerne zawahała się. Wiedziała naturalnie, że spahis chce ją przenieść, widziała to w jego podłużnych, przenikliwych oczach. Pragnęła tego, czując zarazem całą śmieszność tego pragnienia. Lecz się wahała. Lękała się dotknięcia spahisa jakby ręki, którąby Wschód na nią położył, by ją chwycić i bezbronną rzucić w ten straszny świat słońca. Tymczasem przewodnik się odezwał:

— Przeniosę madame na drugi brzeg.

Spahis się roześmiał; jego małe, równe zęby błysnęły między czerwonemi wargami.

— Madame mi pozwoli! — rzekł biorąc młodą kobietę w swe ramiona.

— Nie! — zawołała.

Spojrzał jej w oczy i równocześnie dał znak przewodnikowi, żeby mu zdjął obuwie. Chłopiec pochylił się posłuszny.

— Dlaczego nie? To tylko chwila.

Spoczywała spokojnie w jego ramionach, czuła, że mógłby ją tak trzymać długo, długo bez zmęczenia.

— Nie chcę iść dalej.

— Ale pani tam szła. Czy pani się boi wody?

— Nie.

— Pani się boi mnie?

Chłopiec ściągnął już obuwie i bose, brunatne nogi spahisa jakby z miłością przylgnęły do rozgrzanych kamieni.

— Tak — odrzekła.

Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, z pewnością dlatego tylko, że to było prawdą.

— Postaram się oduczyć panią bojaźni — szepnął wstępując w wodę.

Lady Wyverne zamknęła oczy. Ponieważ ta rzecz się stała, chciała ją odczuć jak najwięcej. Kiedy spahis postawił ją na przeciwnym brzegu, westchnęła jak dziecko. Otworzyła oczy i utkwiła spojrzenie w jego bose nogi.

Noga człowieka pustyni jest tak wyrazista, jak jego ręka i często bywa równie piękna. Patrząc na te bose nogi, Lady Wyverne wydała się samej sobie pospolitą; w myśli błyskawicznie skojarzyła delikatność kształtów spahisa z niezmierną siłą, której przed chwilą dał dowody i zaczęła się zastanawiać nad sprzecznymi rysami natury tego człowieka, w którym kobiecość była pomieszana z męskością i to z dziką męskością. Idąc za wrodzoną impulsywnością, rzekła nagle:

— Czy pan ma rewolwer?

Wyjął go natychmiast z fałdów swego uperfumowanego ubrania.

— Podrzuć kamień — rzekła do przewodnika, który właśnie nadszedł, trzymając w ręku obuwie młodego oficera.

Chłopiec odszedł na kilka kroków, stanął naprzeciwko spahisa i schyliwszy się podniósł kamień. Spahis się uśmiechnął, podniósł rękę z rewolwerem i wykrzyknął jakiś arabski wyraz. Chłopiec podrzucił kamień wysoko w błękit. Dał się słyszeć suchy trzask i zdruzgotany kamień wpadł w wodę.

— Crumpet nie potrafiłby tego.

— Madame?

Wykrzyknik ten wyrwał się mimowolnie z ust Lady Wyverne.

— Crompète — vous dites?

— Au revoir, monsieur, stokrotne dzięki.

Spostrzegła się, że zaczyna tracić głowę. Odwróciwszy się szybko, podążyła w stronę wioski. Spahis nie poszedł za nią, lecz zatrzymał na chwilę przewodnika, z którym śpiesznie się rozmówił po arabsku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Wó cik, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	b	b
e	i	i	i
i	n	n	o
s	s	s	s

Znaczenie wyrazów: 1) Ptak afrykański; 2) Królowa polska; 3) Nazwisko hiszpańskie; 4) Naród germański w Europie.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Wójcik, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą jedną z reform finansowych p. Grabskiego:

— ral
— oga
— ran
— iga
— mam
— ora
— mor
— yna
— ard
— dam
— oda
— pis
— ema
— ram
— oga
— bbs

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
a, a, a, c, d, e, e, g, i, j, k, ł, n, o, o, p, r, u, z, z, z,

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Z liter na biletach ułożyć pseudonimy polskich pisarzy:

Z. TEKA.

N. de LOPI.

Ł. WITOS.

TEDY AMO.

LESŁAW BAITO.

Przysłowiówka.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane przysłowia, mające związek z początkiem wiosny:

1) -a--ię-e-o---e-o--a--y-ą-o-y-o-o--a.
2) --ię-aĄ--ie---a-y-u----a--o--o--a--ie---a

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) A. Gruszeckiego „W c. k. urzędzie“ (powieść), 2) Paczka papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 9

Okienko: Rodan. Dante, niebo.
Zadanie na rozsypane litery: Kłamca sam sobie szkodzi
Kwadrat magiczny: Płock, Marta, katar, Tales, lu.ek.
Zadanie do przestawienia: Poznał swoj swego.
Szarada: Grabski.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M Kalinowska Radom, W. Nowicki Warszawa, Z. Kwaśniewski Kraków, J. ilczek Sandomierz, H. Janiszewski Warszawa, S. Sokołowski Rzeszów, K. Dembiński Kraków, T, S ra-zewski Warszawa, L. ołodziejczyk Częstochowa, J. Czarnecki Kraków, M. G a owska Rozwadów H. Obst Lwów, A. Lipski Wiedeń, Z. S erling Kraków, J. Jaworski Lwów, M. aminski Zakopane, H. Fijałkowska Zamość, J. Opolski Stanisławów, Dworzański Tarnopol, S. Ostrowski Sandomierz, M. M siewicz Brzesko, W. Racyński Kraków, M Żak Kraków, J. T rała Sambor, K. Ludwikowski Warszawa, S Gram i o omyja, J. Belawski Lwów, B. opiel iotrków, S. Balicki arszawa, S rzyżanowski Łódź, M, Jasińska odg rze, H, Kohn S ryj, M alinowska Radom, B. ęckowski iel e, J. Roland arszawa, Z. Nowak Jasło, K. Gross Stanisławów, M. Mar y owicz rzemyśl, H, Galiński Tarnobrzeg, M Gum ń ka B c ni , W. Borkowski Zakopane, J Dyląg Lwów, M. ysocka Zamość, E. Bliński Sambor, S. Samlicki Nowy Sącz, J. Dalewski Kraków, M. Broda Rzeszów, J. o-sowski Jasło S. owal k rakow, S. Ogibiński Lwów, K. Radoszewski adowice, M. Radziński arszawa . Nowicki Warszawa, Bogucki Jasło, M. rakowska Lwów, K. ierzbicki Kołomyja, J. Ciechocki Warszawa, . Hadyński Kolbuszowa s. J. elc Sanok, N. ipian Lublin, Cz. Sochacki Lwów, H. Drożyńska Horodyszcze, J. apisz Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. alinowska Radom (książka). 2) . Nowicki arszawa (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 7 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego.